

Pasterz wierny – ks. prałat Jan Marszałek

(Łodygowice, 16 XI 2020, przesunięte na 16 I 2021)

Teraz w jesieni mija 50 lat, jak pierwszy raz przybyłem tu do Łodygowic. Zostałem tu skierowany na praktykę duszpasterską jako diakon. Byłem bowiem na VI roku studiów, po święceniach diakonatu (29 VI 1970 r.) i pod koniec ostatnich w seminaryjnych wakacji. Praktyka trwała 2 miesiące – wrzesień i październik.

Wszystko dla mnie było tu całkiem nowe: tutejsza okolica, tak daleka od moich stron (między Rabka a Nowym Targiem – Rdzawka), nieznanymi księża. I tutejszy lud – też mi mało znany - widywałem czasem tylko jego przedstawicieli – górali żywieckich, na uroczystościach w Krakowie!

Jedyny znajomy to był ks. Jacek Żurek, mój starszy nieco rodak, który mnie zresztą tu przywiózł swoją „MZ-ką”, szybkim i eleganckim motocyklem. Był tu do niedawna wikariuszem, zanim go przeniesiono do Nowego Targu. Opowiadał mi dużo o tej tu parafii, o Księdzu Proboszczu, o dobrych warunkach itd. Mówił mi, że w ogóle tu dużo się nauczę, że to mi się bardzo przyda!...

O tak! Przydało mi się ogromnie to dwumiesięczne przebywanie i moja skromna posługa, którą bym raczej nazwał „raczkowaniem na parafii”. Przede wszystkim jednak to było przyglądanie się temu bardzo bogatemu duszpasterstwu, a więc głównie duszpasterzom. Jeśli liczyć również i mnie – to było nas pięciu: Ks. Proboszcz (i dziekan), wikariuszami byli: ks. Stefan Misiniec i ks. Stanisław Biskup. Był też emeryt – ks. Mgr Kazimierz.

Zamieszkałem na parterze plebanii w pięknym pokoju z werandą, od południowej strony, z widokiem na kościół i na góry Beskidu Śląskiego w oddali. Na ich tle rysowała się piękna sylwetka kościoła parafialnego na lekkim wzgórzu w Pietrzykowicach.

Moją pracą była katechizacja w salce koło plebanii. Uczyłem parę młodszych klas podstawówki, a gdy ks. Prałat pojechał do sanatorium, to i za niego uczyłem na chwilę kl. II i VIII. Zajmowałem się też ministrantami. Pomagałem w czasie Mszy św., co należy do diakona. Miałem zleczone nawet jakieś kazanie, o ile pamiętam to o różańcu. Odwiedzałem też z ks. Stefanem chorych na Pierwszy Piątek, niosąc Pana Jezusa i udzielając Komunii św. Pamiętam piękne

jesienne dopołudnie i nasze odwiedziny z postugą na przysiółku Porąbki! Miałem też dużo czasu wolnego i zwiedzałem okolicę, nawet tę dalszą, bo ks. Stefan użyczał mi swego wspaniałego roweru kolarskiego „Huragan”. Mogłem więc pojechać aż na Żar, na Straconkę, czy do Żywca...

Ksiądz Prałat od razu okazał się bardzo dobrym i troskliwym przełożonym. Cierpliwie i dokładnie mnie wprowadzał w różne sprawy duszpasterskie, zwłaszcza w katechizację. Mogłem na jego lekcjach przebywać do woli, co też chętnie robiłem. Sam też przychodził na moje i pomagał mi wejść w rolę katechety. Jego uwagi były naprawdę ojcowskie. Do dziś pamiętam, jak podkreślał potrzebę wyrabiania obowiązkowości i porządku u uczniów. To zobowiązywało oczywiście także i mnie!

W ogóle, trzeba powiedzieć, że ks. Prałat był człowiekiem bardzo dobrze, nawet perfekcyjnie zorganizowanym i niezwykle obowiązkowym, przy tym zaś - pracowitym na każdym chyba odcinku swego postugiwania. Miałem okazję to widzieć i podziwiać, byłem przecież domownikiem, na moich oczach odbywało się to wszystko. Jak potrafiłem - tak się i ja garnałem do pracy, choćby w kancelarii, gdzie ks. Prałat dużo przesiadywał. Widziałem też, że solidnie przygotowywał katechezę i nawet sprawdzał jakieś zadania z religii. Na każdej lekcji sprawdzał też zeszyty dzieciom, odpytywał. Dużo uczyło się na pamięć i dużo też śpiewało.

Bardzo miłe były nasze rozmowy przy stole, choć raczej on był słuchającym niż mówiącym. My, młodzi, mieliśmy dużo rozwichrzonych pomysłów, czy może i takich-że poglądów. Był to przecież czas tuż (parę lat dopiero) po II Soborze Watykańskim i wiele było w Kościele powszechnym fermentu, czy nawet zamieszania. Na szczęście wtedy nie wszystko to do nas docierało (od razu), bo środki przekazu były obce czy też nawet wrogie. Katolicka prasa, bardzo skromna – i pod kontrolą. Powoli były wprowadzane nowe teksty liturgiczne, wiele jeszcze było łaciny w liturgii. Dziś widzimy, że te opóźnienia, czy raczej ostrożność – były zbawienne, bo nie popełniliśmy wielu błędów, które niestety podkopały solidność Kościoła na Zachodzie.

Moje przyglądanie się i udział w świętej Liturgii w Łodygowicach, bardzo wzbogacił moje kapłaństwo. Przy wielkiej różnorodności Służby Bożej było tu wszystko bardzo ożywione i autentyczne. W rodzinnej mojej Rdzawce, jeszcze

przecież nie parafii, nie było jeszcze takiej tradycji w życiu kościelnym. Tu zaś liczne nabożeństwa, bardzo uczęszczane, zawsze pełno dzieci i młodzieży, ministrantów i lektorów. Równocześnie widziało się tylu świeckich zaangażowanych w różne posługi, dyżury w sprzątanii i myciu (!) drewnianego dużego kościoła. I inne roboty przy nim. Pamiętam impregnację dachu kościoła pokrytego gontami, nawet kiedyś cały dzień się przyłączyłem do tej roboty! I zawsze wśród tego gospodarz – ks. Prałat. Niby przecież dostojny (zawsze w koloratce, jeśli już nie w sutannie) - a równocześnie bardzo przystępny i pogodny. Nie dawał też odczuć jakiejś wyższości, dominowania, choćby z powodu (oczywistej) racji, którą mu trzeba było przyznać. Umiał zachować spokój i powagę, zawsze z jakąś dobrocią. Warto było go widzieć, jak po pracowitym dniu znajdował czas na modlitwę, czy to jeszcze w kościele, czy chodząc z różańcem wokół niego. Zauważyłem, że umiał się przygotowywać do każdego zadania, a już szczególnie do kazania. Radził nawet – pamiętam – aby w przeddzień mieć już mniej obowiązków (np. po południu w sobotę), aby był spokojny czas na przygotowanie się do niedzielnego kazania!

Co mi zostało z praktyki u ks. Prałata Marszałka? Chyba najważniejsze to przekonanie do konieczności ciągłego wysiłku, by być wytrwałym i cierpliwym. Te dwie cnoty (choć właściwie to jedna wielka – wytrwałość) chyba szczególnie wyróżniały naszego Kandydata na Ołtarze. Nie byłem, niestety, świadkiem dalszych jego pracowitych nadal, choć trudniejszych już lat. Obowiązki dziekańskie, budowa kościoła w Łodygowicach Górnych i podzielenie parafii, pogarszające się zdrowie – to wszystko musiało go kosztować wiele wysiłku. Ale nie brakowało i nie brakło wytrwałości, choć przyszły i trudne lata kalectwa (utrata wzroku) i dotkliwych ograniczeń z tego wynikających.

Czymże jest więc wytrwałość – zapytamy. Niby łatwo powiedzieć, bo chyba wszyscy odczuwamy jej brak, większy lub mniejszy. Widoczny zaraz lub widoczny dopiero później, dokuczliwy dla nas samych, ale przecież i dla innych nie obojętny... Sięgnijmy najlepiej do Pisma św., przewertujmy choćby jedną z Ewangelii. Ileż tam przykładów wytrwałości, cierpliwości! Jezus dwunastolatek nauczający trzy dni w świątyni, potem – już dorosły – przebywający 40 dni na pustyni, bez jedzenia i picia! Modlący się w Ogrojcu i przedłużający swą modlitwę w udręce czekającej Go Męki, i jego upomnienie uczniów: jednej

godziny nie mogliście być ze mną?!...A droga Krzyżowa? A na Krzyżu – gdy wołano zstąpi z Krzyża?... A upomnienie uczniów na drodze do Emaus? ...

To mówi nam Słowo Boże – Jezus Chrystus, mówi Jego nauczanie i głoszą to ci, którzy Go naśladowali – Święci. Wśród nich, gdzieś daleko w tym nieprzerwanym „łańcuchu” Tradycji chrześcijańskiej, a przecież jeszcze blisko nas (starszych) - jest nasz świątobliwy proboszcz – ks. Prałat Jan Marszałek.

„Pamiętajcie o swych przełożonych, którzy głosili wam słowo Boże, i rozpamiętując koniec ich życia, naśladujcie wiarę. Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki. Nie dajcie się uwieść różnym i obcym naukom.”

(Hbr 13,7-9a)

Bóg zapłać Wam za to, żeście tu dzisiaj przyszli, a jeszcze bardziej za to, że tak długo – i wytrwale - zachowujecie pamięć o Kapłanie, który głosił Wam słowo Boże swymi ustami i swoim życiem!